Rok siódmy. 1 i 10 Stycznia 1848 r. Nr. 1 i 2.

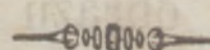
Wydawca i Redaktor Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Spis przedmiotów: Cosmos Humboldta, (tom drugi).— Dukat w apoteozie przez St. Ch.— O poznawaniu ludzi, wiersz Pope'go przekładania Ludwika Kamińskiego Pulk.— Wiadomość o nowém piśmie p. t. *Starożytności Warszawskie*.— Wiadomość o kościotrupie ludzkim zmienionym w lane żelazo. Listowanie (Doniesienia o nowościach literackich.)

COSMOS HUMBOLDTA.

(TOM DRUGI.)



W Przeglądzie z roku zeszłego daliśmy życiorys Humboldta, wiadomość o pierwszym tomie najnowszego dzieła jego i wyjątek ze wstępu do Cosmos'u. Teraz zaś, w jedném z pism czasowych niemieckich, Humboldt donosząc o wyjściu na widok publiczny drugiego tomu pracy swojéj zamieścił *treść*, którą tu czytelnikom Przeglądu tymczasem podajemy, nim zamieścimy wyjątki z przekładu drugiego tomu Cosmos. Przytém miło nam jest donieść czytelnikom Przeglądu, że wkrótce ujrzymy cały tom pierwszy w tłumaczeniu polskiém.

W tomie pierwszym Humboldt zamknął świat widzialny, to jest główne wypadki postrzeżeń wolnych od utworów fantazyj

i tylko do samego przedmiotowo-naukowego badania należących, treściwie, i porządkiem po sobie pod formą malowniczą obrazu natury wykazane. Ta część dzieła wystawia świat cały, począwszy od najdalszéj gwiazdy obłoczkowéj w przestrzeniach nieba, aż do najdrobniejszych stworzeń ziemskich.

W drugim świeżo wyszłym tomie, Humboldt pokazuje, jak obraz zewnętrzny świata fizycznego przez zmysł powzięty, wpływał na uczucie i poetyczne wyobraźni usposobienie. „Przechodzimy, pisze autor, z krainy rzeczywistości i przedmiotów do dziedziny wrażeń uczuć. Tu odsłania się nam świat nowy, wewnętrzny; pragniemy go zgłębić nie dla tego, ażeby w wielkiéj księdze przyrody badać, czego filozofia od sztuki wymaga, i co estetycznym wpływom, sile czucia i rozmaitym kierunkom umysłowéj czynności przynależy; ale żeby malować zródła żywych zapatrywań się, jako środków do obudzenia czystego pojmowania przyrody, aby śledzić przyczyny, które mianowicie w naszych czasach, przez ożywienie wyobraźni tak wielki wpływ wywarły na zamiłowanie nauk przyrodzonych i chęć dalekich podróży.

A. Środki skłaniające nas do poznawania przyrody są trojakiego rodzaju:

1. Estetyczne przedstawienie obrazu natury w żywym i zajmującym opisie królestwa roślinnego i zwierzęcego, co stanowi nowoczesną gałąź literatury.

2. Malownicze opisy krajobrazów pod względem postaci roślin.

3. Większe upowszechnienie uprawy roślin zagranicznych, które zewnętrzny charakter powłoki roślinnéj powierzchni ziemi wykazują.

4. Kontrastujące ustawienie kształtów roślinnych.

Każdy z wymienionych tu środków tyle mających powabu i zachęty, mógłby już być pod względem historycznym przedmiotem obszernych opisów. Jednakże zgodnie z duchem i celem dzieła mego, zdawało mi się stosowniéj odwikłać tylko i wytknąć niektóre główne idee, wskazujące drogę; potém pokazać jak dalece świat fizyczny, w rozmaitych epokach i u różnych pokoleń, odmiennie wpływał na świat umysłowy i uczuciowy, i jak w stanie ogólnéj oświaty, poważne wiadomości i łagodniejsze wraże-

nia fantazyi, wzajemnie się łączyć i przenikać usiłowały. Ażeby przyrodę w całéj szczytnéj wielkości malować, nie należy zatrzymywać się na samych tylko zjawiskach zewnętrznych. Natura bowiem powinna być wystawioną w takim obrazie, w jakim się ona wewnątrz człowieka malowała, i jak przez odbicie się jéj narysu, zamglona kraina mytów fizycznych, zastępowała powabne postacie tworów; wreszcie jak szlachetny zaród objawiającéj działalności sztuki, rozwijała.

Po wskazaniu środków zachęcających do naukowego zgłębienia przyrody, mówić będę:

B. O historyi zapatrywania się ludów na świat fizyczny.

W tym wykładzie, który stanowi dzieje poglądu na świat, oraz pomysłów prowadzących do wykrycia początku jedności zjawisk, i związku sił w wszech-świecie, nie będziemy przechodzili historyj szczegółowych nauk przyrodzonych, gdyż te znajdują się w dziełach obszernych mówiących o fizyce, morfologii zwierząt i roślin.—Główne części w historyi zapatrywania się na świat fizyczny są:

a. Samoistna dążność umysłu zwrócona do badania przyrody.

b. Wypadki dziejowe, które szybko zakres postrzeżeń rozszerzyły.

c. Wynalezienie nowego środka do uzmysłowienia naszych wyobrażeń; oraz wynalazek nowego niejako organu zwiększającego siłę wzroku, który stawia człowieka w bliższéj styczności z przedmiotami ziemskiemi i najbardziéj odległemi w przestrzeni świata.

Ten trojaki pogląd, służył mi za skazówkę, do ustalenia głównych okresów, przez które historya wszech-świata przechodzić musiała.

Historyczne przedstawienie rozwijania się nauki przyrody w dwóch sferach, to jest w poznawaniu ziemi i nieba, ściśle wiąże się z ustaleniem peryodów i wypadkami w świecie fizycznym i umysłowym zaszłemi, któreto wypadki nadają tym peryodom właściwą cechę i barwę. Do takich należą: Przedsięwzięcia, które doprowadziły do bliższego poznania królestwa Pontu, Kolchidy i zachodniéj części morza Kaspijskiego:—Wyprawy do krajów zwrotnikowych po złoto i mirę:—Przepłynienie zachodniéj ciaśniny i otwarcie dla ludów wiel-

kiéj drogi morskiéj: — Odkrycie w różnych czasach wysp Cerne, Hesperyd, i wysp wulkanicznych Azorskich: — Odkrycie Nowego świata przez Kolumba.

Po wielkich wędrówkach ludowych, które się od morza Środziemnego i północnego końca zatoki Arabskiéj rozpoczynały, po wyprawach do Pontu i Ofiru, następują w opisie historycznym:

Wyprawy wojenne Macedończyków pod Alexandrem Wielkim; jego usiłowanie zmierzające ku połączeniu w jednę całość wschodu z zachodem. Wpływ handlu morskiego na cywilizacyą. Ustalenie państwa Greckiego.

Rozszerzenie pojęć o wszech-świecie pod Lagidami. Zakład Alexandryjski. — Uogólnienie poglądu na przyrodę w krainie ziemskiéj i niebieskiéj. — Wzrost handlu morskiego na południu.

Panowanie Rzymian nad światem. — Wpływ połączenia państwa, najpierwsze wyobrażenia o świecie. — Wzrost geografii przez handel lądowy. — Zaprowadzenie Chrystjanizmu, który wywołał i szczęśliwie przyjął wyobrażenie o jedności rodu ludzkiego.

Napływ Arabskich pokoleń. — Systematyczna dążność Arabów do zgłębiania przyrody i praw świata. — Rozszerzenie geografii, fizyki, astronomii, wiadomości matematycznych i praktyczno-chemicznych.

Następuje potém okres wielkich odkryć morskich. — Odkrycie zachodniej półkuli. Ameryka, Ocean Spokojny, Skandynawowie, Kolumb, Kabot, Gama, Cabrillo, Mendana i Quiros. — Najbogatszy zbiór zasobów do fizycznego opisu świata zachodnim ludom tu się nastręczył.

Okres najważniejszych odkryć w przestrzeni świata, jakie kiedykolwiek umysł ludzki dokonać zdołał. Główna epoka astronomii od Kopernika, Galileusza do Keplera, Newtona i Lejbnica, zamykają szereg wypadków i zdarzeń, które szybko zakres pojęć rozszerzyły, i do zgłębiania praw fizycznych zachęciły.

Umysł ludzki ciągle wywołuje wielkie dzieła, jako owoc swéj wewnętrznéj siły twórczéj we wszystkich kierunkach wiedzy. Historya nauk fizycznych, wszędzie zbiega się z historyą pomysłów o wszech-świecie."

Po daniu téj krótkiéj treści, Humboldt oznajmia, że lubo tom pier-

wszy i drugi składają całość, spodziewa się jednak, że przy samym schyłku życia swego wyda jeszcze jeden tom, który zawierać będzie: *Wypadki badań szczegółowych części opisu fizycznego świata*, i będzie objaśnieniem *ogólnych obrazów natury*

DUKAT W APOTEOZIE.

I.

Onego czasu a dzisiejsze to dzieje, żył sobie jeden stary hrabia herbu Poraj na tym padole płaczu.—A żył za lepszych czasów — za młodu, to przez lato w kąpielach, w Karlsbadzie—w Bade-Baden,— to przez zimę w Paryżu, w Rzymie, w Neapolu, — Bóg wie gdzie tam w cudzych stronach, jak bocian lub jaskółka.

Żył za onych dni zapewne i hucznie i jaskrawo i wesoło, — bo coraz w kilka czas, wedle Ś-go Jana zawitał do rodzinnych progów, to z pustą kieszenią, a z pełnemi landarami cudzoziemskich fetеci,—pełną głową i piersią szczęśliwych wspomnień; — a ile razy w parę tygodni potém odlatywał znów do onych jakichś tam rozkosznych cieplic, tyle razy rodzinny skarbiec do dna wyskubał — rodzinne wioski do konsumpcyi wysuszył.

I nie rok—nie dwa—nie dziesięć, ale do trzydziestu, i z dolewką latek, młody hrabia wędrował tak — puszył—szumiał po wszystkich kątach świata, jeśli nie sam—w gronie dobranych przyjaciół, to pewno z jaką cudzoziemską aktorką lub comtessą. — Potém zwolna z comtessy zszedł na baronowę — z Wiednia na Warszawę... aż w końcu z coraz wyżéj ku ciemieniowi wznoszącém się czołem, — z coraz schnącą szkatułą— zdrowiem duszy i ciała, i rozsądny sta-

tek wzniósł się do muzgu, ucichły burzliwe młodzieńczego szału potoki.

Hrabia strwonił młodość -- majątek — może i sumienie, ale nabył w zamian imie europejskiego galanta,—rozsądek życia tak cechujący handlarzy, węże i światowców, i galanteryi tak śliniącéj salony. — Przytém ostał mu stary kilkuset pargaminami podparty tytuł pana, a za onych czasów, heraldyczne malowidło -- łańcuch antenatów— wysoki ród chwiał się jeszcze na ziemskim tronie, — strącany z jednéj strony przez prawdę—z drugiéj przez syna i następcę holenderskiego czerwońca.

To też siłą onego walącego się bożyszcza stumanił jeszcze dwie poczciwe ale ślepe po dawnym zwyczaju szlacheckie dusze, i ożenił się... z milionem Złp. posagu, kilkunastu włościami — hypokreną nowych uciech i rozkoszy — i zmartwychpowstał.

Wziął przytém dość miluchne i dobre paniątko; który to warunek byłby z całéj duszy z intercyzy wyrzucił... Wyładował wyprawą dwie karety — posagiem dwie szkatuły... i wraz z onym niepotrzebnym gracikiem—żoną, ruszył w świat!

Pani—jak turkaweczka, wychowana od pieluch w słodkiéj rodzicielskiéj miłości, — jak jedni bają — pono z razu i jechać nie chciała.— A kiedy dźwięk pocztarskiéj trąbki zadzwonił w szklanne szyby rodzinnego dworu, — wtedy to poczęła się owa zawierucha pakunkowa, hałas—rwetes—tartasy... jakby do cichych pokoi—wpadł nagle zagon tatarskiéj gawiedzi, - kiedy to dopiero słudzy poczną kręcić się— latać—wichrzyć potraciwszy głowy, z kąta w kąt za niczém, — jak opętani... a stara piastunka beczéć jak bóbr — a pan ojciec patrzyć jak zmora na boży świat, a pan małżonek drżący od niecierpliwości, pobijać na ustroniach pięściami boki panującéj przedpokojowéj czerni,.. a matka.. o matka zawsze matką!... biedna hrabina jak goździk złamany wichrem, padła u macierzyńskich kolan, — łzy ciekły po zbladłém liczku, jak z wiosennéj chmurki deszcz,— śnieżne piersi ledwo nie roztrzasły się od łkania—serce ledwo nie pękło z boleści.

Jak tam pani Cześnikowa zapłakała — jak rwały się od żalu macierzyńskie wnętrzności, — jak z ziemi podniosła nieboże... i dłu-

go — długo tuliła do piersi, — całowała w bledniuchne czoło — patrzyła w niebiosa... ludzie coście mieli matki, wspomnijcie — a nie pytajcie mnie.

A stary Cześnik tymczasem tylko dziwnie kiedy niekiedy skręcił sumiastym wąsem, zamotał ustami, jakby całą potęgą wtrącał w wnętrzności buchający jakiś uczuć potop, — i milczał:

I świat milczy też kiedy całun gradowych chmur niby bezbrzeżném trumienném wiekiem przywali szerokie kraje — z rzadka tylko wielka kropla deszczu, niby nabrzękła całą grozą burz przyszłych, syknąwszy jak wąż, spadnie tu i owdzie. — Tak w straszliwéj ciszy płakał i stary Cześnik; — co tam było u niego w piersi? popytaj piorunnéj chmury co jest w jéj wnętrznościach.

I było tak pacierz nie jeden — a zdawało się że upiór jakiś złowieszczy szaremi skrzydły wiewał nad biedną rodziną.

Jak potém stary ojciec błogosławił jedynaczkę — jak młodą hrabinę oderwano od matczynych nóg — jak młody hrabia rzuciwszy z teatralną czułością ostatni uścisk starym teściom rwąco za młodą małżonką wskakiwał do wiedeńskiéj karety — jaki tam w onéj chwili krótki — błyskawiczny — jaskrawy uśmiech niby szatanik wyskoczył mu na usta, zawietrzył chwilę i przepadł w czeluściach duszy nakształt kamienia jak biedna matka na ręku wiernych sług, wyciągnąwszy stare dłonie, — niby boża męka u drogi, rwała się pod koło pojazdu... jak francuz kamerdyner zatrzasnął wymitrowane drzwiczki — pocztyljony klasnęły w bicze — i tylko długa szara chmura kurzawy, jak dym po przelocie racy, wlokła się jeszcze chwilę między zielone owse — pieniste hreczki — pstre ugory Dewojnowa... szeroko — długo, a również pletli o tém ludzie; — ale wszyscy wyplotłszy, miasto uśmiechu, zazdrości, westchnęli tylko i umilkli. — Oj złowieszcze — dużo mowne takie szare milczenie.

A inni — źli, — co to w słońcu nawet plamy widzą, zrazu po kątach — głucho, — potém coraz głośniej i głośniéj gwarzyli: — że pan stary Cześnik nie za zięcia ale za hrabstwo jedynaczkę wydał. — Gwarzyli że młode dziewczątko płakało długo, — i długo — rzewnie błagało ojcowskiego pysznego serca, iżby z krwi swojéj, dumie nie robił ofiary — A i pani też Cześnikowa —

staropolskich cnót niewiasta nieraz — nie dziesięć, prawili, — kiedy to bywało o szaréj godzinie pan mąż zatopion w twardych planach kroczył szeroko, niemo po alkowie, a myśli tylko łuna czasami, niby błyskawica — świadek dalekiéj burzy, przemknęła piorunowym wężykiem po bruzdach czoła — i gasła... poczciwe kobiecisko, nie raz — nie dziesięć klękało przed panem mężem, — a prosiło w serdecznym płaczu.

„Ej Jasiu Jasiu — nie czyń szczęścia dziecięcia, twoich zamysłów narządem... Ej Jasiu, tak Bóg nie kazał!

Stary Cześnik, niekiedy nic nie odrzekł, jakby nic nie słyszał... niekiedy mruknął sobie tylko ostro — zawiesisto z pod sumnego wąsa.

„Ot lepiéj Asoka zmów pacierz — i idź spać; — bo mi nic do rzeczy pleciesz... Długie włosy krótki rozum... Ojciec rządzi — matka sądzi... Zresztą nie zatruty, ale splendoru chcę ja dla krwi mojéj.

Hrabia człek z antenatów... człek bywalec... człek dworski... hrabia pan z panów; nie my jemu, ale on naszéj miałkiéj choć poczciwéj przynosi lustr szlachetczyznie. — Będzie swego czasu senatorem — generałem lub marszałkiem, a nasza Józieczka panią senatorową... Tak gwarzył i jeszcze szerzéj — zwyczajnie jak to ongi nasza zacna — ale ślepa, — oj, straszliwie ślepa, a chroma na umyśle, często i na sercu szlachta.

„A małżeńskie szczęście" dorzucała łkając Cześnikowa.

„I to rzécz niezaświatowa — znajdzie się wnet Deo juvante znajdzie. — Ino mi aseńka wybij z głowy dziewczynie te niestworzone romanse — te beki ni w pięć ni w dziewięć... będzie sobie w hrabskiéj mitrze szczęśliwsza, jak indyjska królowa. — Toć i my się nie kochali, ani znali aż przed boskim ołtarzem, — a Matce Częstochowskiéj chwała, (dodawał topniejąc z całusem w czoło swojéj Marysieńki), i małżeńska szczęśliwość — i boskie błogosławieństwo znalazło się po weselu. — Józia będzie hrabiną i kwita. — Dobranoc."

Pani Cześnikowa nic nie odrzekła. — znała małżonka, poczciwe człeczysko — ale panem — był za domem i w domu. — West-

chnęła sobie tylko w duszy i poszła na łono boskie wylewać one skargi a żale, które w mężowskiém sercu posłuchunie znalazły.

I tak robiło się — robiło... aż się i zrobiło. — Józia z płaczem poszła do ołtarza.

Ludzie, co to zwą się bocianami — okoliczna szlachta, syczeli mocno, — że pan Cześnik bawi się w fumy, — że Panu Cześnikowi szlachectwo już śmierdzi, — że pan Cześnik niech co pacierz dziękuje Panu Bogu iż wziął do swéj chwały one stare czasy, kiedy to bywało: „Kto głowę z korca wychyli, to go strychulcem w łeb," — że córkę sprzedał, — że Bóg jest na niebie, a patrzy, i waży i płaci ludzkie sprawy... i tym podobne herezyje, — zwyczajnie jak źli ludzie... Syczeli — i wiatr rozwiał, może i nie rozwiał! — Ładna Cześnikówna z płaczem została hrabiną.

A jak została, tak i w lot — od ołtarza prawie porwali ją mimo łez — mimo boleści, do onéj pocztowéj karety, iście źli dobrą duszę - i polecili... Oj nie na huczne wesele — nie na przenosiny jak stary obyczaj, tylko wprost jednym tchem aż do Paryża. — Tak kazały hrabskie tony — tak nowa moda. — Pono Bóg nie wie zkąd ją wywlekli? — gdzie jéj ród? — kędy idzie? — pono jak w zbutwiałym strzępie, nie było — nie ma w niéj życia ni oleju za grosz! — cóż robić, — kiedy z dawien z dawna — aż do dziś, taka już w krwi naszéj krąży choroba, że lada wiecheć słomiany, byle z zagranicy, w każdéj chwili może dla nas zostać drugim Panem Bogiem.

Jesteśmy jak ongi na puszczy wnuki Abrahama; — niech na mgnienie Bóg podniesie z nad naszych karków rózgę gniewu swojego, — w lot złotym cielcom bijemy bałwochwalcze pokłony.

Oświeć ślepe... a daj upamiętanie!...

A ktoby chciał spisać kronikę sześcioletniéj młodych hrabstwa włóczęgi, po wszystkich górach i padołach cywilizowanego świata, musiałby za szkielet do onych dziejów wziąść sześć lat tułaczego życia cygańskiéj rodziny, — za ciało spaniałą suknię z złota świecideł — atłasów. — Oj, ale do barwnéj pstrocizny, trzebaby domieszać i dużo ciemnych smug, żółci — smutku, burz domowych, bezrozumu, — nędzy ducha okrytéj śniącym szychem... a nad ma-

lowidłem za godło posadzić niedoperza — małpę i szatana, jak w bratnim uścisku wziąwszy się za pazurki, co tchu pracują by przez igielne ucho, dobrą duszę wepchnąć do piekielnéj czeluści...

To też i wepchnęli...

A młodéj Cześnikównie znać smakowały rozkosze — znać pełną czarą piła tę, zgotowaną ojcowskiemi dłońmi, małżeńską szczęśliwość — bo w dwa miesiące po ślubie z pełnéj różyczki została białą lilijką. — Dwa panieńskie oczka, wesołe, jasne jak dwie gwiazdeczki na niebie, ubrały się w jakąś mgłę dziwną — posępną... w jakieś różowe obwódki, i patrzyły na boży świat jak dwa djamenciki z krynicznéj wody. — A to nie woda pono — to łezek krynica!... Może blask mitry tak olśnił nieboże? — może co innego ciemniejszego groźniejszego niż blaski? — Oj bo krom łez — dużo tam — dużo chmur sinych, na biednych oczętach, na biedniejszem czole siedziało... Co pod czołem? — co w sercu? — kto tam wie kto tam hrabskie podgląda budoary — kto tajniki małżeńskiego życia rozstania.

Ja tylko prawię com widział; wy sądźcie przyczyny widzenia.

W pół roku potém widziałem znów co innego.

Hrabia — on zawsze jeden, od samego ślubu. — Za domem, czy w pysznych salonach kawiarni — czy w rozkoszném, przymgloném różowémi atłasy mieszkaniu aktorki — czy w hulaszczem dobranych towarzyszy gronie, świeci jak słońce — jak słońce dukatami i weselém promieni... W domu?... o w domu różnie. — Czasem także jak słońce, tylko trochę przymglone, gdy przy gościach — przy uczcie; — ale niech tylko za ostatnim z obcych, kamerdyner zatrzaśnie podwoje, w lot jasne słońko w gradową przemienia się chmurę. — Siny, zły, cierpki, — piorunami i błyskawicą rozrzucał w około... To też i w domu, w około niego wyglądali wszyscy jak polne kwiecie po gradobiciu — po wojnie. — O czary — istne czary... ale nie wiedźmy żadnéj, tylko własnéj woli.

Hrabina... i Hrabina zawsze jednaka,—Tylko oczki w głębszéj kąpieli, tylko na czole chmur — i tęschnoty gęściéj. — tylko karminowe usteczka spłowiały — przeciągły się tak dziwnie - boleśnie,

iż choć się uśmiechała, sądziłbyś że płacze, — ale na świecie nikt nie wiedział co ją boli, — nie żaliła się przed nikim, łzy nie wylała... owszem w oczach wszystkich, tonęła w wielkiego świata błyskliwém szczęściu, a przecież zdało się że zwolna jakiś niecielesny, niewidomy wiatr odmuchuje z niéj wszystkie barwy ziemskości.

Samotna — milcząca — bez uśmiechu — bez łkania, bez światła, pomroku—szła po tym padole między drugiemi, jak zbłąkana z cmentarza mara, córka zagrobnego świata...

Poczciwe biedactwo!... świat w którym ona żyła, niegodnym był pojąć tak świętéj cnoty, to też plał tylko na nią kłamstwem — potwarzą — szyderstwem... jak zwykle, jak to już jego sposób ubóstwiania niebiańskich świateł na ziemi — ale tam nad chmurami... oj nie tak!... nie tak!...

Bądź co bądź błogie znać było jéj życie! — Bo kiedy w rok późniéj, w zwykłym ptastwa i panów oblocie po ziemi, znów hrabstwo obliczności swą udarowali mury Warszawy, a Cześnikowie zawiadomieni pismami, co tchu ciągnęli do stolicy, by po długim mroku tęsknoty, choć dni kilkoro przeżyć jaśniéj — jak te ongi, w promieniach jedynego staruszków słonka, biedna matka weszła— pojrzała raz tylko na swoję niegdy jak kwiat na jabłoni Józieczkę, miała wyskoczyć z radości, a utonęła w rozpaczliwym płaczu w objęciach córki.

Drugie niby oko ducha, otwarło się w niéj, i jednym rzutem, ogarnęła cały długi rok przeszłości, wszystkie czarne przyszłości otchłanie...

I pan stary ojciec pojrzał — i nie tulił do serca jedynaczki — zadrgnął tylko dziwnie — rzewno... tylko w mgnieniu dziwniéj pobladł — zasiniał... i milczał jak trup... A kiedy pan zięć z wymierzoną słodyczą bazyliszka, w pokorze ujął drżącą dłoń ojca, — stary jak dotknięty piorunem wydarł mu ją gwałtownie...

„Współmorderco!... zawył grobowo — dziko jak upiór — i jak upiór zaszłą krwią, okiem pchnął w winowajcę, a hrabia zimny jak ropucha, drżał przeszyty zrenicą jak ognistym sztyletem.

„Żebyś jako ja, i ty — aść, krew swoją sprzedał... i jako mnie Bóg zapłacił ci za nią...” Huknął potém niby grzmotem pogromnym i niby piorunem grozy zatrząsł ku niebu drżącą prawicą... Potém

straszliwie — powoli oplótł palcami siwą głowę jak w obręcz... jakby muzgu ściany na cztery wiatry rozpaść mu się chciały... zatoczył się iście ślepy — pijany... i wyszedł.

We dwa tygodnie potém na dowojnowskim cmentarzu księża, sąsiedzi — boży lud — oddawali ziemi co było ziemskiego z Cześnika... I mowce piali długo jego chwałę — antenatów — stare szczęście — nowe splendory... wiatr rozmiótł puste słowa, i z hymnu chwały mniéj zostało w jego falach, niż z trupa, w ząbkach grobowego robactwa!...

Opatrzność dotknęła go swym palcem... Święty grom Opatrzności!... Bo powiedziano jest: — nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną — a on uwierzył w cudzego bożka rodu, I rzucił mu na pastwę, własne dziecię.

Chwała bądź Bogu, który jak każdemu drzewku, tak każdemu czynowi człeka kazał nosić swoje owoce!...

I Cześnikowa niedługo plątała się po téj ziemi. Odcierpiała za swe winy, aż dusza cierpieniem urosła do pełni pogody. — Z jasnością w oku, z nadzieją w sercu — z wiarą w tchnieniu, odeszła w spokoju za mroczne bramy życia. — Chwała bądź Bogu który cierpieniem wysłał gościeniec pochodu ducha w lepsze światy!

Hrabstwo znów odlecieli, jak dzikie gęsi w czużynę. — Ale hrabia zabrał tylko strzaskane boleścią ciało swéj żony... Jéj serce — myśli, dusza, zostały między mogiłami dowojnowskiego cmentarza, i grobem jasnéj przeszłości.

Dwa lata jeszcze ta stęschniona — obca ziemi istota, włóczyła w smutku i pomroce swą doczesną sukienkę ciała, dwa lata jeszcze biedny duch wśród złoconych cierni i aksamitem wysłanéj nędzy, musiał wykłuwać się do żywota wiecznego, — aż uleciał doń... z nadzieją — ale — ale nie z radością?

Biedna Hrabina została matką — opuszczała na ziemi sierotę — aniołka w pieluchach... I ostatnie jéj słowo było matki słowem... „Boże nie chcę do nieba... Ojcze ostaw mnie — ostaw przy mojem dziecięciu!...” I pan wysłuchał. — Dziecina rosła jak pączek różany—bo duch matki jak stróż anioł, we wszystkie godziny życia stał nad nią.

Tak skończyła trzecia ofiara bałwochwalstwa. Swiat wielki — świat rozsądny, prawił że umarła na suchoty; ludzie dobrej wiary, poczciwego serca, jasnéj głowy... że ją struli hrabstwem.—Wieczny odpoczynek!

Tak pan hrabia wyprawiwszy w lepsze światy ostatnią istotę, która ćmiła mu ziemski Eden życia, uczuł się znowu lekkim, swobodnym, żądnym lotu jak młode ptasze. Świat roskosz wyciągał doń lubieżne objęcia, różami i weselem uwite;—ładowna szkatuła,—spuścizna żony i teściów, wróżyła wieczność szczęścia. Jeszcze duch umęczonéj żony, ostatnim pocałunkiem tulił się do zsiniałych warg trupa, kiedy nasz bohatyr, z radością Kolumba, rzucił się w szumne nowego świata uciech, potoki.

Zapomniał nieboże, że i roskosz i miny Golkondy—i ciało olbrzyma—i Edensiemsler, to prochy,—niewolnicy lada pierwszéj godziny, lada drobnego wiatrów poddmuchu!... I używał... a chwila biegła za chwilą—dzień za dniem gonił... kiesa za kiesą pękała... iskra za iskrą z płomienia życia gasła w mroczny dym... a szatanik za każdą w dymie, wywrócił koziołka — i huknął sowim śmiechem za zdrowie marnotrawcy!

Sześć lat—długie sześć lat.., ah i króciutkie jak jeden sen świetny—jedno pijaństwa mgnienie, —przemknęły błyskawicą. — Hrabia obudził się... w więzieniu za długi, osuty od stóp do głowy ospą. I zdało mu się że przed godziną jakiś Gnom ukołysał go w raju pośród róż i mirtów i ogniookich hurysek, by tak przespał nieśmiertelność;—wtém zły duch dmuchnął z boku... ocknął się cierpiący, niedołężny, na łożu z ruin, goryczy i cierni. Oto życie!...

Tak zdało mu się z raz, ze dwa, kiedy duch wstrząśnięty uderzeniem bankructwa i choroby, zbudził się w piersi, i duchowém swém okiem, począł błądzić po ciemnych przeszłości krainach. Ale gdy za miesięcy kilka, z zdrowiem powrócił zimny rozsądek, i zdławił wrzask przerażonego serca, pan hrabia ujrzał się ani mniej ani więcej, tylko bankrutem, gołym jak turecki święty, —do tego z poszarpaną w różne szramy twarzą, — brzydkim jak pół-djable weneckie.

Rozum z wiekiem—z biedą chodzi zwykle w parze... i nasz rycerz dziwnie zmądrzał na starość o głodzie.

Wywinąwszy się prawem i lewem—jak Bóg dał, ospie i przyjaciołom w Paryżu, przywlókł do domu po trzydziestoletnich wędrówkach w świecie, modny, ostatni wyratowany z finansowego rozbicia fraczek—stargane, zużyte zdrowie, - podagrę, chyragrę, słowem tysiąc muzyk w nogach,—łysę, a pustą głowę, wychudłe serce, dość szerokie sumienie—dziesięć franków w kieszeni, i ślicznego siedmioletniego aniołka Ewelinkę, przykutego doń, jak gołąbek do hydry.

Tu mu jeszcze błyszczała jedyna gwiazda zbawienia! — Rozbitek wierzył w swoje stare hrabstwo Sacri Romani Imperii, jak człek zacny w dziesięć palców—głowę—poczciwość i Boga.—Wykołysanemu w szumach pochlebstwa—cudzoziemcowi w własnym kraju, jemu się uwidziało, że, kiedy świat wszystek daleko za sobą w grobów cieniu zostawił zbutwiałe dawnych bożyszcz strzępy, w poczciwéj Polsce, szesnasty wiek kołami czasu wypchnięty z dziedziny żywych... wstrzymał się—wrósł w rodzinne nasze strony—i oszańcował na wieki, jak mumija w egipskiéj piramidzie. Więc roił nieboże na starość jak wiośniany motylek, że dość mu będzie rzucić między czołobitne tłuszcze swe wielkie miano, rozjaśnione stu wiekowych dyplomatów blaskiem, i tłuszcze z swoich grzbietów umurują most Jego Wielmożnéj Mości, a on upotężniony jak wprzódy siłą starego bożyszcza, powiedzie po nim w tryjumfie rydwan swych przyszłych losów na wielki gościniec świata!...

Biedny zawiódł się srogo!... Niepróżno długie lata krwią i słowem — mieczem i piorunami pracował ciężko ośmnasty wiek, by rozkruszyć ów światowładny geniusz, który potém czasów zawierucha w potwór wykoślawiła piekielny. Inny był już wiek, inny człek... inny świat—inne obyczaje—inne bożyszcze.

Duch zachodu—duch woltero-handlarski wionął szeroko po ziemi—po głowach ludzkich, i jako orkan w pustyni, z gór porobił rozdoły, z przepaści strome wierzeje... i rozsnuł się w cały system nerwowy nowego życia. Byłto wiek 19. Zmurszałe pargaminy zmieniły się w świeżuchne weksle. Jasnooki dukat zajął na domowych ołtarzach święte miejsce starych penatów, niegdy mądrości—cnoty

i chwały - potém trupich posążków mądrości—chwały i cnoty... a zawładnął szeroko powszednim żywotem... czyli tak aż do głębin ludzkości?—czy na kipiącéj najwyższéj warstwie... szumowin?... Czy tak na długo?... Bóg jest nad światami, a tchnienie jego w nieskośławionéj piersi człowieka!.. Więc nasz bankrut znowu chciał poszczwanić miną —nadstawić potęgi czołem... a mina była rzadka w jednym fraku,—czoło bezwładne, nierozjaśnione kieszenią.—Mówił - i w jego słowie nie było ducha;—robił, a dłoń nie miała nerwu potęgi. Wyśmiano go jak Don-Kiszota, co chciał długą dzidą wskrzeszać zgniłe trupy!... a jestże dla Słowianina większa plaga nad śmieszność?...

Więc klął—rzucał w błoto wszystkie ziemi kruszce — gwiazdy,—wszystko co miało nieszczęście nazwać się materiją—cały świat bałwochwalców co opuścili prawowitą cześć rodu, a pogańsko biją pokłony pieniądzom... przyszedł wiatr pierwszy i rozwiał bezsilne przekleństwa!... Duch czasu dogniótłby go był--rozdymił w nicestwo.. ale pan hrabia nie był Brutusem—pan hrabia miał rozsądek węża — pojrzał w rzeczywistość, doświadczeń burzą wytrawionėm okiem i za drugimi kapitulował z honorem.

A po kapitulacyi nie było lepszego widoku, jak w odwrocie ofuknąć głośno dla tonu, pogardą mocnego dorobkowicza, który wdrapał się na tron świata, niby słabe kocie, kiedy przed chartami uskoczy na drzewo;—i w cichości ducha uderzyć przed nowém bóstwem pokłony.

Tak też uczynił i wielce doświadczony hrabia.

Pokłócony z całym światem, — z zadąsaną, gęstą miną, osiadł w zamierzchłéj poleskiéj wioseczce,—ostatniéj ojców spuściźnie, i z dali rzucał nań, ale zawsze z taktem i oględnością, pociski żółci pełnych skandalów, jak rozbundziczone chłopie drewniane strzałki na słońce. I siedział tak nie rok, nie dwa, ale dziesięć;— zakopany jak chrząszcz w roli, pędząc niby Delille baranki na paszę, dzień za dniem idyllicznego życia hreczkosieja. I jak nie miał siedzieć? kiedy wyruszyć nie było za co... Godne synki Izraela — z weselszych dni druhy, zabierały w procentach połowę dochodów, resztę zjadł domowy wydatek, —a tak zadąsany nowy bożek mimo skru-

chy, żal serdeczny za przeszłości grzechy, corocznie chłostał kassę byłego wroga gradobiciem deficitu.

Za to w biedzie i troskach spełniało się wielkie dzieło odrodzenia... z czciciela rodu został czcicielem złota.

Nie same jednak gorzkie teraźniejszości ciernie, i tęschne lepszych dni wspomnienia, plotły się w wieniec życia zdemontowanego hrabi.

O nie jedna świeżuchna różyczka — nie jeden dijamentowy promień wykwitał tam jasno z kolców i goryczy!—siał światłem zamgloną ścieszkę żywota.—Bo też anielskie były rączki, z których to kwiecie padało!...

To Ewelina z różaną buzią—niebieskiem oczkiem, z bieluchną szyjką, z bielszą duszyczką,—jedyny kwiatek z 64 lat wesela, uciech i dumy pana hrabiego—jedyne słońce,—może jedyny cierń sumienia starca, — jedyna pamiątka czteroletniego konania biednéj ofiary pychy!...

To też kiedyś pójrzał na to wiotkie dziewcze, zaglądnął w jéj siwe oczęta, rzekłbyś że odlatujący duch matki stopił w jednę łzę tęschnoty wszystkie swe ziemskie westchnienia—i oblókł w nie, jak w mglny całun, obie zrenic gwiazdeczki. Znać głęboka dusza przez nie na boży świat wyglądała!—O! bo i dusza w oku, jak gwiazda na niebie—jeśli jaskrawém, płytkiém migota się światłem, to pasożytna planeta, powszednia światów mieszkanka... duchy słońca, jak słońca gwiazdy, bezcielesną, białą, równą palą się jasnością, z cichych przepaści swych dziedzin.

To barwa głębokości.

Tak więc stary hrabia oprócz młodziuchnéj onéj gazelli, miał wszystko stare w swéj zapadłéj w bory przystani rozbitka. Stare hrabstwo, stary dwór, stare sługi, stare choroby w ciele, stare wspomnienia w duszy... nawet starą cioteczną siostrzyczkę, ale także z hrabskiego gniazda,—długą, suchą panienkę w statecznie już porządnie latkach. Od dziesięciu wiosen odrzuciwszy z pagardą wszystkie nadzieje czterdziestoletnich dziewiczych westchnień, zajęła ona dość poczciwie miejsce matki przy pięknéj bratance.

Bo też po Bogu a prawdzie, okrom kilkunastu pańskich przymiotów, co jak chwasty półwieku nieplewione, rozbujały szeroko na

glebie jéj duszy, poczciwe to było kobiecisko. Choć Ludwik XIV z swym, aksamitami przysutym plugawym dworem, od czasu jak z dziecka wyrosła w dziewicę, był ideałem jéj marzeń,—wiara w Boga, zacność w sercu, słodycz w ujęciu, świeciły z niéj pięknémi promieńmi polskiéj niewiasty.

Tak złe z dobrém, jak mrok z światłem w dziwne tęcze mąciły się w poczciwéj ciotuni, tak spłynęłyby zeń w pierś wychowanki... ale duch matki z niebiańskich stron czuwał nad skrońmi ukochanéj dzieciny. I dobre rozkwitało z młodéj duszy, złe uciekło od niej jak od świętości. Z dziecięcia wyrosła wnet, jak różany pączek, dziewczynka,—trzy lata—i już z pączka dziewczynki, stulistna róża, dziewica.

Ale na każdym róży listeczku, rubiny roskoszy z wesela jasnością się żenią, a na całéj duszy i ciele dziewicy siedziała smętna tęschnota, niby obłok zagrobnego świata. — Taką była ongi i Laura natchnień Petrarki... a poeta spiewał by, że to dzielne przodki z przybytków nieśmiertelności swéj pojrzały na skarłowaciałe wnuków plemie... i uroniły łzę żalu. — Przejrzysta łza potoczyła się po gwiazd rańtuchu — padła na ich zapleśniały ziemski grób, i stała się ziemską dziewicą.— I może przeczuciem wyśpiewał by prawdę... może dziewcze dla tego tak rzewniało, tęschniło, — co i kwiat na mogile... czułe gdzie rośnie. Ludzie prawili że słabość duszy i ciała matki, wpłynęła w wiotką istotę dziecięcia.

Tak było onego czasu, a niedawne to dzieje, — w zamierzchłem w czarne bory Międzylesiu.



Była to sobie wiosna, jak wszystkie wiosny, czy młodości — czy marzeń — czy roku; — zielona, skoczna, swieżuchna, — niby dziewczę z swawolnym uśmiechem, i niby chłopiec z palącą źrenicą. Z wezbranéj ogniem, roskoszą piersi matki natury, potopem lało się życie, i kwiaty... ale żaden nie wpadł przez hermetycznie

zaszklone okna do gabinetu pana Hrabi, — żadne westchnienie maje nie zwiało zimowéj pleśni, co tam od kąta do kąta jak samowładna pani rozsiadła się szeroko.

Przecież hrabski gabinet nie był ani źle ustrojony, ani nieporządku pleśnią zasuty; — przeciwnie — wszystko szkliło się jak w zwierciedle. — Jednak blasków, bez téj łyskliwéj świeżości życia był zamglony — przyrzucon szronem, jak blask złoceń w kościelnych grobach. — Widocznie było to mieszkanie człowieka, który cały duch swój daleko za sobą pozostawił w przeszłości, i wegetował oczekując godziny śmierci.

Może rzekniecie: bajkę prawisz — przesądy; — mówcie co wola! ja przecież wiecznie przy swojem stać będę, że nie ma tam owéj czerstwości — owéj pełnéj ciepłéj barwy życia, gdzie nie ma człowieka; — jak nie ma tam białego światła — pełni wszech promieni gdzie nie ma słońca. — Twórcze dopiero tchnienie naszego ducha, w niższe tęczowe — kamienne — zimne życie puszczy, wieje tę niewidomą krew, która go w jednem mgnieniu zmienia w pełne życie świata. — Bo też i świat bez człowieka, byłby nie skończony — kulawy, jak roślina bez kwiatu i owoców, — jak mózg bez myśli, serce bez czucia — duch bez czynu.

Stary Hrabia, brzydki — siedział na szerokiem krześle i milczał. — Zrenic tylko parę, przez szklanne szyby okna, wbił gdzieś daleko — aż za krańczynę nieboskłonu, i oczne promienie biegły przez boży świat proste, nieruchome — jak dwa druty elektrycznego telegrafu, utopione w jednym — sobie tylko widnym przedmiocie. Może to w świeżo stworzonym świeciku nowych planów? — Ha kto wie... bo i odblaski myśli po bruzdach czoła krzyżując się w różne zygzaki, w te same co i zrenice zdały się biedz strony — i nabrzękłe sine żyły skroni, widocznie zbudzone życie w muzgowéj krainie świadczyły. — Przed Hrabią o trzy kroki, stał posąg żyda... nie! to żyd żywy; ze krwie i mięsa — ale milczący także jak kamień. — Rzekłbyś że urok jakiś zmienił ich w dwa sople ludzi.

Ale i w nadjordańskim wygnańcu pod niemą ciała skorupą, dusza hucznie życiem grała. — Z bystrością ostrowidza z pod chmur

czarnych obwisłych brwi, — pchnął oczy ku owym stronom gdzie tonęła zrenica hrabiego.— Zdało się że wzrokiem chciał przeszyć i zbadać jego myśli.— A blask tych oczu tak był przeraźliwie ostry jak oczów drapieżnego ptaka, — znać ładna przez nie patrzyła dusza!! — resztę twarzy rozczochrane rdzawe pejsy — kędzierzawa broda i owisły wąs kryły brudno-czerwonym całunem, — ale i tak dość było widać co mieszka pod niemi.— Milczeli chwilę, — a Hrabia znać nie obejrzał jeszcze owych swéj myśli krain, kiedy żyd pojął je — zbadał zrozumiał.— Z przelotnym śmiechem kociéj radości ośmignął okiem do koła gabinet — w lot uśmiech przygasił kaszlnięciem, rzucił wzrok pokornie w ziemię — i zaczął jezuickim głosem:

„Nu! — co mnie głupiemu rozprawować o tém, — a w jaśnie wielmożnych serc affektów, wtykać niecysty nos.— Mnie się ot tak sobie powiedziało — co powiedziało, Jaśnie pan sam delikatnym rozumem swoim niech sądzi — a co wysądzi to święte bo aż aj waj..."

„Ale bo widzisz mój kochany Pilicer" — odbąknął Hrabia zwolna, pompatycznie — a żyd w pół zgiął się do saméj ziemi, — „ludzie wyżsi, mają już coś przywiązane do swéj wyższości, co czyni bardzo draźliwem ich postępowanie w téj materyi.— Jesteśmy, jak na ścieszce, między stromą skałą i głęboką przepaścią."

„Ny — juści żebym ja swoich dzieciów tyle scęścia pragnął, co i mnie to boleje na serce... ale co robić? kiedy już taki Gomor i Sodom na tym świecie nastał.— Za oniech wielkiech casiech — chciałeś być mocny jako samsonowe ramie? — pokaż nie długim pejsakim — ino herb z koronem... i już trząsłeś ludziami, jak on wielki prorok murem boskich wrógów Filis; — chciałeś mieć urzędje jaśnie wielmożnę Dawidową chwałę? — bogactwa salomonowe? królewny Saabna rżony? wywiedź antenaciech od pięćdziesiąt rodzeń, a świat otworzy ci się na ościesz, jak brama JW. Pana na biedne Rżidki... Dziś za wielkim psieproseniem jaśniejszego od pereł rod Jaśnie Wielmożny Hrabi... dziś... i dziś co prawda herbim nie śmieci, tacy — złoci syny spekilacion za niemi się pędzą na złomanie karkiew co aż gewałd!... Ale i kiepsko się dzieje — kiepsko aż niełądnie.— Dziś i kij się nie rusy na Jaśnie oświecone słowo — jeśli mu nie

zaświecisz workiem ż talarkim!... galgun aliczny nie pojrzy na cię jak na z psieproseniem dziurawego wiechcia — jeśli mu w brudnym ślipiem nie ciśniesz złotem? Dziś łotr juches, złodzij — choćby prorok w podartéj guni: — święty — wspaniały — mocny choć Baal Astarot w aksamitowych!... Zle się dzieje jaśnie panie — zle... aż nieładnie!...

„Tak — tak — tak mój Pilicerku” mruczał machinalnie stary, prawie nie słysząc, utopiony w wirze zamysłów żydowskiéj jeremijady, choć zaprawdę była ona niby echo głosu własnéj jego piersi. — A mądry żyd znów ukłonił się — albo raczéj spadł połową kadłuba do równoległéj od podłogi, — chlipnął trzy razy żydowskim akcentem, — i osłodziwszy jak praśnym miodem minkę, zaczął rzewnem soprano:

„Ale za pokornem psieproseniem jaśnie pana, jakby to ślicznie był tsie! tsie, (i chlipnął znowu) onemu, coby i na złocie posadził malowane — perłowane herbim, a i kieszeń dukatami nabitą miał? tsie! tsie!... Ej — coby to był dopiero nad pany pon!... Ej to jak wielki prorok nad bałwochwalcze syny Edom i Amalek — ej! i usiadł.

A Hrabia milczał czekając niecierpliwie reszty — żyd pojął milczenie, i ciął z sceniczną deklamacyją.

„Ej — a jakby to było slicznie takiéj perle aryjańskiéj, takiéj róży Jerycho — takiéj gazele echt arab — takiemu szafirowi Tosiptach jak JW. hrabianka od piaściech, od Poniatowskes, w ogrodzie Eden ze złota pan Baron Fresner? ej jaśnie panie — ej to ślicnie — co aż strach!...„Ha ha! ha!” huknął śmiechem widocznie rozdobruchany Hrabia — wstając i klepiąc rześko po ramieniu poczciwego faktora — „coś i stary Pilicer zasłabł na romantyzm — śpiewasz kobiece wdzięki jak minstrel.”

„Jaśnie pan taki dobry żartować, jak dziecko... mynstrel... romatyzm!.. Ale bo z psieproseniem JW. Pana, — ja tam nic... cóż mnie tam bidnemu Rzidek na mój kiepski rozum— mnie do interes do spekilacion, — nie do JW. Panstwa, jak JW. Pon... Ale ja to robię ino dla tego, że już taki jestem dobry!... aj waj!...

„Doprawdy?

„Ejcy doprawdy? a tak mi też płacze tu tu, w lewym bokie, coś wielkim głosem — kiedy chodze po świecie za handele, — zajdę sobie do JW. Baron Fresner... Ej dobry też to pan! że go przyłóż na ranie... Na samych 100 korzec przenicy, trzysta złotes, jak groch — mi odpuścił, — kiedym mu ino wspomniał o JW. Hrabianka... A kiedym to dopiero mówił... jakie to JW. paniątko ślicne? a jaki to uniéj ocki! aj waj! a to samo cyste fajn wystrychnione jak Rachele jak Ester!... a jaka jaśnie wielmożna buzia... tchlip! tlchlip! — tak godołem — a nie wygodołem jeszcze połowych onych śliczności!...

„No — no — brodaty pochlebniku!”

„Jak to pochlebniku? komu pochlebniku? na co pochlebniku?” — porwał żyd niby pół obrażony z radością, — „Co — jo go pochlebnik? a Dawid kiedy to z harfim wielkim głosem spiewał o téj co była Uryjaszowa — no to co?

„Niepochlebnik bo Dawid kochał rzetelnie swoją Betsabę.”

„Kochał!... Dawid kochał!... nu ażeby to pan swojem delikatnem sercem wziął dopiero, jak to ten Pan Baron kocha straśliwie tę JW. Hrabiankę? ej — ej... to aż się płakać chce jaki on będzie nieszczęśliwy jeśli JW. Hrabia”...

„Cóż ja... nic... Ja nie rządzę — ani rządzić mogę ręką ni sercem mojego dziecięcia! — jestem ojcem nie tyranem — poblogosławię tylko...

„JW. Baronowi?... Ej jaśnie panie! ej niech się tak scęśliwie skończy jak się rzekło w szczęśliwéj godzinie!

„Ja przeciwko panu Baronowi nic nie mam — zapewne... człowiek nowy... ale też i wiek nowy i nowe idee... i człowiek z ideami postępować musi... zapewne.”

A żyd wyłupił na Hrabiego oczy, jak chłop na niemieckie kazanie — i milczał. — Hrabia, odkaślnąwszy za dawne zbytki, ciął daléj powoli, jakby każde słowo gwałtem wlokło mu się z gardła.

„Pan Baron obywatel — z honorem.” A żyd pojął już co się święci — i z trzema ukłonami powtorzył jak echo trzy razy: — O z honorem... z honorem... z honorem!”

„Stateczny — religijny — a przytém zamożny."

„Co zamożny? komu zamożny? To świątynia salomonowa — to złoto co chodzi!"

„Choć wiesz że ja Bogu dzięki dość mam materjalnych zasobów w spuściźnie po wielkich przodkach bym pragnął kilku marnych kro-ciow."

A żyd ukłonem tylko dobił miserere téj nowéj litanii — ale na spłowiałe wargi uśmiech jak szatan wyskoczył mu z gardziela, prze-wrócił koziołka i czmychnął. — Pan Hrabia przy kłamstwie i czo-łobitności uśmiechu prawdy nie dojrzał — więc jak z kopyta ciął daléj.

„A tém bardziéj za kilka błyskliwych śmieci sprzedawał — nie mówię już szlachetną krew wielkich mężów co płynie w mych ży-łach — ani krew własnego dziecięcia. — Pilicer wszak i ty jesteś ojcem..." Dobił z godnością — a taki duch szczytny grał w jego słowie, że nawet żyd nie śmiał odplunąć nań sowim bełkotem... opuścił tylko w ziemię zrenicę — I zamilkł.

A czy to był blask prawdy — czy blask szychu scenicznego kłamstwa? — biedny Chaim nie pojął — i my z nim dotąd także.

I znów milczeli obadwaj mgnień kilka aż Hrabia spadając nagle w inny ton, — z rubaszną i cudzoziemską prostotą uderzył po ramieniu brodatego faktora Afrotydy, i zaciął z ostra.

„No — ot tak... bo co tam pleść długie bajki między swymi.— Baron — choć Baron kupny, — może łokciem w sklepie zdobył swe baronostwo, — człek prawy — rzetelny — sumienny — do-bry Pan, o ile świat cały tę słuszność mu oddaje; — podoba mi się, o ile z widzenia poznać go mogłem.— Moje dziewcze? znasz je... (a żyd nagiął się znów z mrukiem do równoległéj) może być z nim szczęśliwa, — to też jedyna gwiazda mego biednego życia.— Trzy tysiączki złotych, kochany Chaimku w dzień szlubu jéj z ba-ronem.

A co — zgoda? trzy tysiączki!

A żyd już nie do równoległéj, ale do saméj ziemi dotarł nosem — nogami podskoczył jak żaba... dzięki tylko elastycznemu grzbietowi dzieci Izraela, nie stracił równowagi, i w lot z roziskrzonémi jak

dwa węgle oczami, z płomieniącą facijatą, stanął jak wryty przed Hrabią. - Ale oćmion błyskawicą szczęścia, nie bąkał ni słowa... wbił tylko gdzieś w kąt oczy, niby w widziadło zachwytu, i piorunem z nieludzką szybkością, warcząc jak pudel, począł przebierać wargami. — I rzekłbyś że to spazmowe drgawki, gdyby w końcu zmącony mruk, nie był splótł w dobitniejsze kształty wyrazów „.. „dreizen tausend... macht zwanzig — zwanzig achtzig... ah wej!" które jak cztery prawie jednoczesne strzały wypadły z napyrzonego buziaka. — Hrabia uderzył w najgłówniejszą strunę żydowskiego ducha; nie dziw że jéj dźwięk nawet żydowski rozum przygłuszył. — Chaim w natchnieniu spekulacyi — rachował przyszłość!... Ale natchnienie — to przelot błyskawicy; — Hrabia nie zdołał nawet zachwycić go stępiałémi zmysły, — żyd już odzyskał rozsądną harmoniję swéj istoty, — rozwdzięczył się jak żaba do słońca, i zaczął z ukłonem:

„Ach jaśnie Hrabia wyrzekł jaśnie wielmożnym językiem: „zgoda!..." a ja proch niecysty miałbym rzekać: „nie zgoda?" Żeby tak dzieciów moich... jak ja dobrzę życze jaśnie Hrabi..."

„Wiem, wiem to nie od wczoraj mój kochany Pilicer, dla tego tak bez żadnéj obawy powierzam ci co czuję... coby mi było miłém. -- Ale broń Boże przymusu — intrygi...

„Ingrygi... co to intrygi? komu intrygi? no to kiedy kto w kim się rozlubuje, że aż pfe, i chce żenić... no, to intrygi?"

„Za wysoki jest mój ród — za drogie mi jedyne dziecię abym je śmiał wystawiać na handel, nawet wtedy, gdybym był Judaszem co i Pana Boga sprzedał!...

„Aj waj!... a kto tu o handele... kto tu na spekilacion!... kiedy tu ino to straśliwe kochanie, niby z psieprosieniem Pana Barona i to moje takie dobre serce — takie dobre!... niby z psieprosieniem jo targuję."

„Dla tego uroczyście wszem w obec protestuję, że nie podły, pieniężny — właściwy mrowiu błota interes, ale jedynie zacna osobistość Pana Barona powoduje mnie do tego kroku. — Nie złotu ale poczciwości jego oddaję szczęście mojéj jedynaczki — o którą dość mi rękę skłonić iżby się ubiegali książęta!...

Co książęty? królowie JW. Hrabio! królowie nie godni...

„Więc zgoda?

„Choćby dziś na ołtarz... za dziesięć godzinów mom indult w kieszeni... A ten Pan Baron — to już będzie taki kontenty (i chlipnął) coby skakól do góry nogiem niby tyłućki bachorek, żeby się ino nie wstydził."

„Piękne — piękne to wszystko; — ale jakże zaczniemy?"

„Zaczniemy?... Jaśny hrabi!... a cy to Chaim Pilicer pusty makiwkes, cy glów noszuje na karku?...

„Wiesz że baron jeszcze nie był łaskaw oddać mi wizyty?

„No i co to straszne? to on się z psiaprosieniem tylko sroma tak przyjechać niby po nic... niby po co?... zwyczajnie jak to taki sobie straśnie dobry człowiek."

„Cóż więc ja na to poradzę?...

„No co?... pon hrabia wizyciem mu odda."

„Ja!?..." huknął hrabia z taką grozą, że żyd odskoczył w tył, jak postrzelony...

„Aj wej!... i co tu gniew?... i co jo tu bržidkiego gadam?..."

„Więc to szlachetne, to ładne, iżbym ja, niby ostatni kramarz, żebrząc o kupno mojego towaru, wymiatał czołem śmiecie z jego przedpokojów?..."

I rozbundiuczona hrabska krew, – czy może i nie krew — nie duma, tylko krwie i dumy teatralne widziadło, znów grało chwil kilka warem uniesień w słowach starego wyżła, – i znów żyd z kolei zalewał nowy pożar lodem pokornego rozsądku.

Gwarzyli tak pacierz niejeden, – a hrabia, czy umyślnie, czy mimo woli spadał znów zwolna z ognistego kamertonu, znów żydowski głos powoli coraz jaskrawiej cieniował się nad tłum hrabskich argumentów. I byłto niby duet—kędy dwa instrumenta plotąc po kolei swe tony w dźwięczny wieniec harmonii, mijają się niby dwie fale po zwierciadlanéj wstędze strumienia, gdy jeden wznosi się do wybitnéj wyżyny śpiewu, drugi zapada w rozdół cichéj przygrywki.

Tak falisto szła pogwarka, z dobre pół godziny, aż powoli i oni jak dwa instrumenta w duecie, dostroili się w jeden ton, i jak dwa instrumenta w harmonii, podnieśli jeden śpiew. Znać i hebrajska

loika potężnémi grzmiała argumentami, i hrabska antiteza niedaleko od argumentowanéj tezy leżała, kiedy w bratnim sojuszu tak wnet pojednoczyli swe zdania.

Jak im się nie jednoczyć, gdy jedno przed obydwoma paliło się słonko!

„Tak Jaśnie panie, dobrze się zrobi z pomocem Boskiem,—a co się zrobi, to i dla nas interes, i J. W. hrabianka będzie zdrowa... I!... Oj bo widzi Jaśnie Pan, z wielkiem psieproseniem wysokiego rodu J. W. corecki,—dziewczyna zawsze dziewczyna;—czy w perłowanym koronim, czy w żydowskim lapserdakes—to zawsze jak ćma. Nu—więc chcesz ją sobie ujednać, olśnij ją, to sama wpadnie do ciebie jak w świecę. To widzi Jaśnie Pon, że nie ma nic takiego dobre, jak to niby wizyciem w Oblekole, żeby panna hrabianka rozmiłowała się na śmierć, na strachy w panu baron."

„Dzielny coś z ciebie mój Chaimie psychologista."

„Co psikolegista?... jo nie psi—jo nie kole... ino, z psieproseniem delikatny rozum J. W. hrabiego, ino radzę zpraktikować to co wsiscy ludzie po świecie robią—tylko na inne sposoby."

„No zgoda, zgoda... co radzisz—uczynię..."

„Nu — to ja biedny rżidek moje pokornym winszówności z ten wesele, już tak winszuję, jakby po weselim było..."

„Nakryj wprzód lepiéj głowę—i przysięgnij mi w téj chwili, że baronowi nic nie powiesz, iż ja wiem o całym projekcie, i z planu tę głupią przejażdżkę wraz z córką odbędę."

A żyd bez odmruknięcia wbił kapelusz po same oczy - i jak echo odrecytował hrabskie słowa: „że baronowi nie powiem że Jaśny hrabi wie o ten interes—i z planu tę glupim psiejazdzkim wraz z córkim odbędzie... przysięgam tobie Adonaj ojców moich panie, - którego imie niewysłowione jest... A tyle mi daj ścięścia, i tych dzieciów moich, co jo dotrzymam ten przysiąg!..."

Uciął, zdarł czapkę z głowy, splunął nieznacznie trzy razy za siebie;—ale hrabia splunięcia nie widział, — a choćby i widział, nie rozumiał dowcipu żydowskiego sumienia.

No—tak to co innego—to zgoda!...

„Zgoda?... Łaska to J. W. hrabi nie zgoda”... porwał żyd z pokłonem.

„Jutro o czwartéj przejeżdżamy przez Oblekole ;—hrabskie słowo. Oto wszystko co mogę zrobić bez naruszenia honoru. Co się tycze Koła, i barona, o tem nie wiem; -- jak mi cześć miła, wiedzieć nie chcę—wiedzieć nie mogę!...”

„Ale jo wim Jaśnie hrabio — i Antoni wiedział będzie, — i Jaśnie Panu tak prywatnie wiedzieć,—co to szkodzi?... Zawsze to z psieprosenie J. Wielmożnemu—ale jakiś strach wielki człowiekowi chodzuje po skurże, kiedy jaki kiepski psipadek ni z tąd ni z owąd na niego jak juches złodziej idzie...”

„No—no... więcéj niespodziewanych strachów przetrwałem w mojem życiu, a Bogu chwała, rozbiły się o hart méj duszy, jak bańki o ścianę.—Więc i teraz bądź mi spokojny i zdrów.”

Dobił z znaczącym uśmiechem, wstał z krzesła, poklepał żyda po ramieniu,—a że mądréj głowie dość pałką w łeb, żyd pojął pożegnawczy akcent pańskiéj mowy, skłonił się pod ciężarem karesu—zaprotestował najuroczyściej:— „że wszystko będzie dobrze J. W. panie,—nie pożałuje Jaśnie Pan pilickiego faktorka...” zawrócił cały w zgięciach ku drzwiom - i wyszedł.

A teraz sprawdził się w życiu na obudwu ów filozoficzny pewnik: że duch, nie ciało, jest ojcem wszechczynu—ale duch pełny to jest cały człowiek wewnętrzny.—Że mąż wieku, co ludzkości massą chce podźwignąć jedno dzieło, do jednego kamertonu mass duchy niech tylko dostroi, a same— bez wiedzy, bez woli, jak kółka maszyny, ku danéj stronie wyprężą wszystką swego życia potęgę.

Tak stało się z naszą parą bohatérów.

Zaledwo po ścianach saloniku gruchnął pierwszy łoskot zamykających się podwoi, stary hrabia, z młodą rześkością poskoczył do pulpitu—chwycił za pióro—począł kreślić przeróżne liczb szeregi.—Stał w milczeniu, liczył, uśmiechał się i marzył,—zaledwo pierwszą nogą stąpił żyd po froterowanej podłodze sieni, znów usta zatrząsł spazmowém drganiem—palce przesuwał w palcach, jak paciorki różańca... szedł w milczeniu, liczył, uśmiechał się i marzył. Ale co obaj liczyli tak pilno? -- o czém marzyli tak bujnie?... kto z ludzi,

ubrany w ciężką łódź ciała, w głębiny cudzego ducha wpłynie — obejrzy—pojmie, jak nurek dna morskiego przepaście!... Sama tylko tęczowa zawierucha, jest ludzkich powieści dziedziną — i ja prawię jedno com widział. Wy sami własnym duchem zgadujecie niewidzialne myśli pałace, wedle których on wichrzący, zewnętrzny świat zjawisk piętrzy swoje ciało.

Bądź co bądź — znać obadwaj liczyli grubo, — bo rzędy cyfer nie chodzą z kilku groszami... i wesoło — skocznie marzyli, bo jasny uśmiech, polotne zrenic błyski, nie są sukienką mar smutku. Niech sobie marzą i rachują z Bogiem, — wszak to rzecz ludzkiego życia aż do grobu!—Za grobem — przyszłość i Bóg robi tylko próbę marzeń i rachunków. Biada temu kto swego żywota nie liczy wedle przedwiecznych praw Boskiéj arytmetyki!...

Usłużny Pilicer, opuściwszy ustrojone w sześć kolumn przedsienie międzylaskiego dworu, nie dosiadł z kopyta ślepego rossynanta, ujął tylko za połataną z dziesięciu rzemyków uzdeczkę — i wlokąc za sobą nie wiatronogie bydlątko, posnuł się chyłkiem — wedle sztachet i płotów ku dworskim stajniom. — A przed stajenną bramą właśnie dumał od pół godziny, rozkoszując się jak gawron ku słońcu, — chłop tęgi — pół w liberyi, poł w wieśniaczéj świcie — z buńdziuczną miną — z zawiesistym wąsem — znać stangret z rodu, zawodu i z czupryny znać i kawał zucha i bicz boży na żydów... ale nie na poczciwego Pilicerka. Bo zaledwo zoczył go, już miał warknąć miną od góry — rzęsisto: „znaj szołdro dworaka” — rozświetlił oblicze — już z daleka obadwaj powitali się serdecznie śmiechem, — potém zbliska serdeczniéj dłońmi.

I był to pan Antoni, sławny stangret, bywalec w półowie świata — faworyt pana Hrabiego.

Żyd uwiązał znów swoją szkapinę... a pan Antoni nawet kółko podać mu raczył; potem obadwaj weszli w czarną bramę i znikli w stajennéj głębi.

Co tam daléj się działo? co z sobą gwarzyli? — anim słyszał, anim widział ani widzieć był ciekaw, — bo zbruzdowana cytrynowa twarz Hrabiego, która właśnie w téj chwili wychyliła się z za szklannych szyb gabinetu, i hrabskie jaskrawe oczy, co dwo-

ma promieńmi biegły przenikliwie ku stajniom — i uśmiech zadowolenia, co zakolebał mu się po ustach, dość moją ciekawość napoiły. — Zgadłem co się święci.

Z kwadrans głucho było — pusto na dziedzieńcu międzyleskiego dworu — jakby boży lud dżuma na cmentarz wymietła — zwyczajnie jak na wsi w niedzielny ranek. — A po kwadransie z ciemnéj stajni znów wynurzyły się dwie ludzkie postacie: — ruda— brodata Chaima Pilicera — i półliberyjna stangreta.

A żyd znać dobitnie kładł coś wąsalowi w uszy, bo kiwał nad nim głową jak nad przykazaniem — obskakiwał jak stary lis kurnik, — zaglądał w oczy — mandrował rękami — zwyczajnie jak żyd.

Stary Antoni dobijał tylko z rzadka głową do taktu żydowskiéj argumentacyi — widać nie padała w pustynię — a Bóg obdarzył go oleistą nie kapuścianą głową.

„Nic mój panie Antoni — ino niechże wasze ten psipadkiem huncwockim głupstwo mi nie zwołuje. — Okręglutkie ja dał tatarki i wasze odsłuż mi okrąglutko."

„No — już... już wiem..." odgderywał zniecierpliwiony wąsal.

„Ale bo może wasze swoim delikatnym rozumem nie zrozumiał, może raz jeszcze... Dyszy waść... zabąkiwał żyd po staremu.

„Tfy!... na psa urok — jak Pana Boga miłuję, tfy!..."

„Nu — na co tfy? na co gniew? a cy ja się gniewam? — a cy ja tfy? ja sobie zwycajnie jak przyjaciel na przyjaciela — a wasze tfy!..."

„Jaści tfy!... bo traktujecie mnie panię kupiec jak głupie gąsię — nie jak człeka.

„No darujcie... ny... moj pan dobry tak i jak Antoni; i głaskał go pod brodę jak kota.

„Co się rzekło — to się zrobi... jakem stangret z stangretów, oś pęknie przed samą bramą w Oblekole — a mnie w kaszę nie dmuchać, bąknął Antoni od ucha, — ani po próznicy wywoływać boskiej obrazy, bo waść wiedzą, że to i nie ładnie i grzech...

„No — no — no pon Antoni... no — no to już dobrze... to już nic! Ino jak wprzód serdecznie prosil na te dwa talarki — co waszci

tak fein dzwonkują w kiersiem, tak teraz serdecznie proszę na snaps do Josiele... Dobry trunek... dobry zgody... Nu! a pojdzie wasze na Josiele?"

„Juścić tam nie zostanę — kiedy tam już tak koniecznie — panie żydzie... I potém téj naszéj panience na szczęście przypić — to się godzi!

Ah wej — a jak godzi... jak godzi!... „odwrzasnął mu żydowin — I pletli tam jeszcze długo, szeroko, — ciągnąc wedle płotów — między wiejskie sady do uwieńczonéj jodłową koroną cukierni Josiela: a co pletli? nie słyszałem bo wiatr jak najęty szumiał po drzewinie. Widziałem tylko że gdy znikli gdzieś w zatoce drogi co się niosła sobie szeroko przez środek wsi, — i hrabskie oczy za szybami gabinetu zbiegły z ponad wiejskich strzech otulonych w bałwany zieleni skoczyły przez niwy, przez bory, het het daleko, aż gdzie z za lasów postrzępionego wybrzeża jaśniały czerwone dachy — bielały sute frontony Oblikolskich pałaców... potém zbiegły znów na bory... na niwy, na sady, — aż zgasły wraz z całą hrabską osobą gdzieś w cieniach komnaty.

A wy się śmiejecie szanowni panowie i panie... wy oglądaliście wiecznie miłości gońca, to jak boskiego Cyprydy syna, — swawolne różane chłopie, z gwiaździstém oczkiem, z płomienną strzałką, z motylem skrzydłem, z koralową buzią... to jak anielską dziewicę, z łabędzią piersią, z krzyżem w prawicy, z nieśmiertelności gwiazd wieńcem na skroni. — Z jedną zrenicą zawieszoną u słońc szczytu — drugą lubieżnie, puchowo rozrzuciwszy po ziemskim padole, płynęła sobie w pół świetle — pół cieniu, niby w pół śnie boskiego zachwytu, w pół jawie ziemskiéj roskoszy, na tęczowych uhuśtana obłokach. — A z rubinowéj kołyski ledwo dotknęła śmiertelnika ognistego oka promieniem, już dwa orle skrzydła ducha wytryskały z ramion — już anioł-poeta wzlatywał w niebiosa; — okuty w stalowe zbroice rycerz trząsł światem — rozpalon poświęcenia żarem bohatér, hetmanił ludzkości w wielkim pochodzie przez wieki. Jak im nie lecieć — jak im nie hetmanić kiedy w każdém spoj-

rzeniu dziewicy, palił się duch boski, w każdem jéj tchnienia tętnie drgało nieśmiertelności słowo!

Dziś swawolne pogańskie chłopię uciekło do raju — święta chrześcijańska dziewica z krzyżem w dłoni — z gwiazdą nadziei na czole, uniosła się ponad zrobaczałą ziemię i zgasła w bezbrzeżnym błękicie — zaledwo dla niewielu wybranych — czystych — niezamglonych chmurami ziemskości, bożych-ludzi, świecąc jeszcze na wyżynie pomiędzy słońc zawieruchą. — Opustoszał ich rodzinny tron... Ale nie drżyjcie zacni panowie i panie! — różana i gwiazdzista korona Bogów miłości, nie zostanie bezdziedziczną, roskoszne ich państwo nie runie w bezrządzie. — Zbudziły się nadsekwańskie i wiślane pobrzeża — dwóch nowych następców, jak dwa skorupiaste pędraki, wstało z śmiecia — i drapią się po rubinami usłanych stopniach na majestat.

Jeden z nich w czarnym fraku — z sowiem obliczem — wagą Temidy — kontraktów pliką i wielką tablicą mnożenia na plecach, wznosi się milcząco — wspaniale z nad paryskich salonów; — a imie jego Notarjusz; drugi także czarny, z brudnem niebem na głowie (w obszarpanym łapserdaku wedle najświeższéj mody już nawet bez nieba i w kształt fraku obciętéj kapocie) z wielkim brodzim — kupą spekulacyj w muzgu, wylągł się w odwiecznych błotach polskich miasteczek, i jak wielka — czarna gąsiennica po bielonych i malowanych polskiéj szlachty gabinetach, toczy śmiało swe pobrukowane sploty ku różanym niebiańskiéj dziewicy kotarom. A dumna szlachta na scenie pomiata nim jak wiechciem społeczeństwa; za kulisami stawia między domowe bogi — porucza w jego ręce wszystek swój byt ziemski — kłania mu się — modli... od niego bierze wszystko — nawet świętą małżeństwa stułę... nawet miłości natchnienie!... na własnych dłoniach huśta uśmieconego uzurpatora, na króle ziemskiéj szczęśliwości!

A wy się śmiejecie... i prawicie mi z litością żem oślepł — i jak on ciemny, co wytrzeszczając w słońce zrenice, baje że to szara chmura... na różane szaty bogini miłości prawię wam że to łapserdak...

O bogdajby!... ale niestety, widomy jestem duchem i ciałem — i

gdziem mrok ujrzał, o mroku świadczę... a kędy światło o świetle.

I patrzcie tylko jako jam patrzył w zakulisowe życie nasze a ujrzycie prawdę — i parskniecie serdecznym śmiechem, — boć klasycznie dowcipne pół boże — ten brudny Amor żydowski... i serdeczniéj westchniecie w ściśnieniu ducha — bo zaprawdę rozdzierający — smutny jest widok kalectwa serc — mózgów i sumienia naszego!...

I jak téj myśli rozpalić się mądrością, jak temu sercu ogarnąć człowieczeństwo — Boga—jak tej dłoni dobić się niebiosów, która samoistnie niezdolna nawet uszczknąć tego kwiatu, co pan rzucił go na cienistą ścieszkę żywota, iżby nam przypominał, że jesteśmy wygnańce z Edenu—a wędrujem do nieba.

Ale cóż czynić! —słowo choć z piorunów, to jest dziś plewą na wiatr, grochem na ścianę, albo nasieniem żółci...

Gdzie dukat Światowidem — tam żyd lub handel nadobną Dziewanną.

III.

Miłości—ty dziwny niebiańskiego życia wystrzale!— co na biedny ziemski padoł wytrącasz z każdem mgnieniem z czeluść Hadesu całą szatanów szarańczę—i w każdém mgnieniu, ten sam zadymiony padół na serafickich skrzydłach podrzucasz nad gwiazdy... rozwidniasz aż do podobieństwa onéj jasności, która przed wieki wszechświat zapaliła — chwała Tobie! córo ognia-stworzyciela uwitego ręką pana w gliniany domek zwany ziemskim człowiekiem... Chwała Tobie!... boś z rodu czysta i święta — a nie Ty nas, ale my ciebie dusimy i wykoślawiamy z niebios gońca — w smoka niszczyciela.

Była ta sobie wiosna i ranek majowy — i zielona łączka; — a wiosna roskoszna — ranek jak róży pączek, — łączka zasłana polném kwieciem jak kobierzec, jednym rozplotem płynęła pra-

wie pod stopy międzyleskiego dworu — drugim niby zbłąkana fala, wbiegła wąską wstęgą w ciemną borów zatokę. — Po łączce szumiał strumień — nad łączką wiatrów zalotnik — skowronek pluszcząc skrzydełkami, gwarzył tam o niebieskich migdałach ze złotawym obłoczkiem... Czarne strzępiaste lądy kniei szumiały wrzawą ptastwa — figlarny wiatr łamał koziołki po jodłowych gałęziach... a wszystko swobodnie — rozgłośnie — wesoło... zwyczajnie jak w godzinach miłości i marzeń!

Nad strumieniem wedle boru, — a było to nie daléj jak pięć strzałów od ogrodowego parkanu, stał młodzieniec — i wedle młodzieńca dzieweczka ślicznuchna, świeżuchna,... także jak w godzinach miłości i marzeń.

A przecież nie świegotali wesoło, jak tam po kniei głębinach dzięcioły, ani patrzyli jedno w drugie promiennie, jak błękitne niebo w zwierciadlaną wodę: — choć słodzéj im było z sobą jak ptaszęciu z wiosną... i głębiéj wnikali w siebie jak w srebrne falki niebiosa.

Jasnowłosy młodzieniec, stał niby chmura w pół sina w pół orzucona karminowym jutrzenki blaskiem — dziewczęciu siwe oczka przysłonił tęschnoty obłok — niby mgła jesienna gwiazdeczki. — Milczali oboje smutnie utopieni jedno w drugiém... oj! ale pod bladym smutku całunem palił się tam w ich wzroku nie jeden słonecznego ognia dijament!... I nie dziwota — kochali się na zabój!

Aż dziewcze srebrnym głoskiem zaczęło pierwsze — a jam przyleciał i słuchał.

Dziewcze. Wszak pan dziś wieczorem będziesz w Międzylesiu?

Młodzieniec. Tak chcesz aniele? — o gorzko tam zapewno — gorzko, — gdzie jeśli raczą rzucić spojrzenie, to jak jałmużnę — jeśli zechcą ugościć słowem? to słowo jak żółć z octem... jeśli zniżą się obrzucić grzecznością? to grzeczność jadowitsza niż wzgardy trucizna!

Dziewcze. (Prawie z płaczem) To i ja ciebie trułam... poiłam octem i żółcią!...

Młodzieniec! (W uniesieniu chwytając jéj rączkę) Najdroższa!

płaczesz? Ha przeklęta ta godzina! przeklęte to słowo!... aniele nie wierz mi — nie wierz... jam skłamał. — O gdzie ty jesteś — mogąż być dla mnie ciernie — gorycz, chmury?

Dziewcze. (Tuląc się) Ja też nie płaczę... jam nie płakała. — Ot tak bez myśli — bez woli łzy przybiegły tylko do oczu... ale to nie płacz... Toć ja wiem że nie do mnie mówiłeś Auguście.

Młodzieniec. (Z entuzjazmem) Do ciebie? Ewelino — do ciebie mówię rzadko... tak rzadko jak do Boga!... Ale kiedy przemówię jak do Boga mówię duchem wszystkim... modlę się!... O i ufam i wierzę jak w Niego.

Dziewcze. Więc będziesz u nas?

Młodzieniec. Prosisz mnie — i wątpisz...

Dziewcze.. O nigdy! — a proszę nie dla próżnéj uciechy — ale dla ciebie... i dla mnie... Musisz zwyciężyć upór mojego ojca.

Młodzieniec. Aniołku!— to ty własnego ojca jeszcze nie znasz;— a ja zaprawdę mówię ci — a mówię z boleścią... łatwiéj z zimnego głazu ukuć posąg — w kamienne kształty tchnąć ducha własnych piersi, tak, że niemy, żyć będzie twojem życiem — oddychać twem twórczem ciepłem — niśli człowieka ściętego w skałę ogniem przesądu — pychy... piorunami burz życia, zniewolić do postawienia jednego kroku, wbrew jego drugiéj naturze.

Dziewcze. Wszak od dziesięciu lat był twoim drugim ojcem.

Młodzieniec. Dobroczyńcą powiedz Ewelino. — Dobroczynnością to swą od lat dziesięciu tak pasł mnie suto.

Dziewcze. Niesprawiedliwyś — on ciebie kochał.

Młodzieniec. A każdy okruch miłości był owity w okół ciernia wzgardy. — Ah częstom się nią dławił Ewelino!...

(*Dokończenie nastąpi.*)

O POZNAWANIU LUDZI

Wiersz Aleksandra Pope'go, z angielskiego.

DO LORDA KOBHAM

I.

Słusznie gardzisz człowiekiem, który za ksiąg stosem
Z swéj samotni na ludzi ostrym zrzędzi głosem,
Aczkolwiek z pism uczony, on w ogólnéj treści
Istotnie zdrowe zdanie przypadkiem obwieści.
Wszak ów ptak co z swéj klatki dość woła wyraźnie,
„Oszuście, wszetecznico, rozpustniku, błaźnie"
Choć wielu trafną nazwą ochrzci doskonale,
Ztąd u ciebie za mędrca nie uchodzi wcale.
Lecz wszelka ostateczność zarówno jest zdrożna,
Ludzi jak ksiąg zbytecznie naczytać się można.
Zwykle w swoich uwagach światło widzim jasne,
Przenosim je nad inne dla tego że własne,
Za cudzą zaś mądrością mniéj zdań się uprzedza:
Prawidła idą z wiedzy a z domysłów wiedza.
Każdy liść, każde ziarnko ma piętno osobne,
Swoje włókna misterne, swoje żyłki drobne,
Czemuż sądzim ryczałdem człowieka jedynie?
Czyliż mniéj odmian w ludzi niż w ziół jest rodzinie?
Uważ, jakto śmiertelnych ogół różnorodny,
Jak człowiek pojedynczy sam z sobą niezgodny!
Nałóg, rozum, namiętność, prą go rozmaicie,
A zdania powszechności dziwnie barwią życie.

Głębie, mielizny ludzkie któż rozmierzy ściśle?
Kto wir i zamęt w każdym wykryje umyśle?
Często nasz rozum nadto w wnioskach się zacieka,
I tworzy płód dowcipu, nie obraz człowieka;
Ledwie zdołałeś powód działań jego zbadać,
A już tenże sam bodziec zaprzestał nim władać,
Tak, kto nożem ciał wnętrze rozpoznać się sili,
Traci z oka ich życie w postrzeżenia chwili.
Niemniéj wszakże się różnią narzędzia widzenia,
Jak rzeczy, które tamtych rozwaga ocenia,
Nasz odcień rozważane biorą obyczaje,
Szkło naszych namiętności swą barwę im daje;
Wyobraźnia powiększa przedmioty istnące,
Przekształca je, pomnaża, stroi w szat tysiące.
Nie staje potok życia, gdy go okiem gonim,
Wszystko on nagli z sobą, nie ma śladu po nim,
Trudno o wczas do uwag na jego wybrzeży,
Gdzie chwytać wiadomości nie zbierać należy,
Często pchnięci zgubnemi namiętności skutki,
Od pierwszéj działań naszych zbaczamy pobudki,
Więc ostatniéj ulega trud, nie przekonanie,
Górę zaś bierze zwykle co późniéj się stanie.
Jak gasnące obrazy zmąconych władz duszy,
Gdy czujność zmysłów spocznie, gra marzeń się wzruszy,
Pomimo przejścia myśli w niepamięć grobową,
Stają się snów następnych zwyczajną osnową;
Tak cóś równie ciemnego dla badacza ludzi,
Jest to może, co nieraz do czynu nas budzi.
Jedni tak są otwarci że ich poznasz snadnie,
Drudzy zaś tyle skryci że każdy ich zgadnie,
Bo podobnie jak światło razi wzrok pomroka.
Wszak ujmuje nas Michał na pierwszy rzut oka,
A wszystkie nawet dzieci nienawidzą Jana,
Choć w nim dusza się kurczy jak w jamie schowana.
Jeśli połową ludzi zacny Piotr się brzydzi,
Każdy wie że to cnota, on łotrów w nich widzi.
Kiedy Szymon wszem w obec karku swego nagnie,
Poznajem wszyscy podłość co się wnęcić pragnie,

Od kadzideł pochlebstwa bacznie stronim zdala,
A sama opryskliwość czasem nas zniewala.
Lecz rzadki jest charakter z tą cechą prostoty,
Mimo silne popędy chyże są dusz zwroty,
Jużto się umysł dziwną sprzecznością odznacza;
Już go ciągła przysada całkowicie spacza;
Niespodziane słabości w mędrcu nas uwodzą,
Głupcy w toniach ciemności niedościgli brodzą.
Ten sam mąż, patrz jak różny kiedy zdrów lub chory,
Za domem albo w domu, według różnéj pory.
Ranny dla interesów, bezsenny dla karty,
Mądry w radzie publicznéj, wściekły w polu z charty,
Otoż moralny Kajus! co za godna postać!
U niego cierpić łotra, jest to łotrem zostać.
Któż zalet Patrycego uwielbić nie gotów?
Dłoń jego czysta, serce cnych pełne przymiotów,
A głowa jak obięta! . . . .
Ale on mało zważa na te hołdy płonne,
Dla niego whist jest chlubą i wyścigi konne.
Jedna zawsze jest dążność Boga i natury,
Ale rozsądek ludzi buja między chmury,
Jak ptak wpada i znika to przelotne plemie,
Raz mieszka na księżycu, raz grzęznie pod ziemię.

II.

Próżno chciałby filozof wpływem światła swego,
Po oczywistem *co jest* dojść tajni *dla czego*?
I w skutkach sledząc, przyczyn utrzymywać śmiało,
Żeśmy to zrobić chcieli co trafem się stało,
Patrzaj, gdy się fortuna lub kochanka sroży,
Ci sobie głowy golą, ci brną w spraw bezdroży;
Taż sama oschłość nagli w różnym sił nastroju,
Karola do klasztoru, Filipa do boju.
Nie zawsze też człowieka można poznać w czynie,
Nie jest przeto łaskawym kto łaską zasłynie;

Może go promień zmiękczył pomyślności słońca,
Może nań wiatr z innego wionął ziemi końca.
Nie koniecznie pokorny kto szuka ustroni,
Pycha to się tam często przed wyższymi chroni,
Nie ten śmiały co w bitwie zapęd śmiałych dzieli,
On nikczemnie się lęka śmiertelnéj pościeli.
Kto rozprawia rozumnie czyż ztąd już rozumny?
Wszak ów mówca z słów raczéj nie z czynów jest dumny.
Ale niech będzie człowiek po czynach sądzony!
Zbierz więc najobojętniejsze, zgódź różne ich strony,
Z tych policzysz w charakter kilka jawnych oku,
Bez rozważania kroci utajonych w zmroku.
A sprzeczne czyż u ciebie nie będą na względzie?
Czy na karb przebiegłości zapiszesz je w błędzie?
Mamże nagle złoczyńcę ujrzeć w bohaterze,
Żebyś ty przy skreślonym obstał charakterze?
Ach, ów mąż może działał śród myśli nieładu,
Był chory, zakochany, lub nie jadł objadu! . . . . .
Lubo toż samo słońce mocą swych promieni,
Iskrzy się w dyamencie i w róży rumieni,
Wszakże cenimy wyższy sił jego zadatek,
I nader słusznie klejnot przenosim nad kwiatek.
Wychowanie ukształca umysły narodu,
Tak drzewo rośnie późniéj jak je nagniesz z młodu.
Dziedzic wsi, twój syn pierwszy, jest szorstki, chełpliwy,
Drugi, kupiec potulny, kłamie, prawi dziwy;
Trzpiota się Tomasz żołnierz, otwarty i hardy,
Marek pełza w autorstwie; inny pełen wzgardy.
Kto wreszcie żadną wiarą nie ujął sumienia,
Ten wiecznie niespokojny co chwila się zmienia. . . .
Czemuż ów niedowiarek bystry w odpowiedzi,
Co tyle miał dowcipu, teraz jak mruk siedzi?
Czy widmo albo ducha gdzie spotkał na drodze?
Nie, lecz właśnie minister nań zmarszczył się srodze.
Chciałbyś sądzić z natury? tę nałóg zużyje,
Przebiegłości zastąpią, interes podbije.

Z czynów? zbyt trudny wybór w wątpliwym ich tłumie,
Z namiętności? te łatwo obłuda skryć umie,
Ze zdań obcych? to przestrzeń niezmierna, bezdrożna.
Znajdź więc przedmiot, na którym zmylić się nie można!

III.

Głównéj więc namiętności zwiedź gościniec bity,
Na nim wietrznik jest stały, obłudnik odkryty,
Szaleniec ma swój rozum, szczerość kłamca znany,
Wszystko jasne, sam Wharton tam staje na jawie,
Wharton za naszych czasów tak wielki, tak mały,
W którym główna namiętność wrzała: chuć pochwały.
Tę światłem u rozsądnych zawsze zyskać gotów,
Nie mógł żyć bez oklasków, zalotnic i trzpiotów.
I żeby nowych zalet zasłynąć okazem,
Musiał być Cyceronem i Pajacem razem.
Potém w skruchę zapadał; toż dzikie uczucie,
Z ktorém zwykł pić, hulać, objawił w pokucie,
Rad z uwielbień postronnych co to bez różnicy,
Sławią modły bigota lub wdzięk nierządnicy;
Wszystko mu pan natury szczodrą ręką nadał,
Tylko prawego serca nędzny nie posiadał;
Wszelkie mając przywary nie wzdrygał się na nic,
I obcy już dla wstydu, padł w podłość bez granic,
Wszakże kusił się ciągle o pochwał zdobycie,
Lubo stokroć je tracił przez sromotne życie;
Nie kupił on przyjaciół choć ich płacił drogo,
Nie mógł cudną wymową przekonać nikogo,
Głupi z większym rozumem niż go miał kto inny,
Zbyt rozmyślny do czynu, zbyt do myśli czynny,
Umarł obmierzły ludziom jak bezbożnik wszelki,
Co zaś gorsza, występny, a przecież nie wielki.
Cóż Whartona w téj bezpraw zanurzyło fali?
Oto strach by go łotry głupcem nie nazwali.
Nie zna cudów kto zgłębił naturę dokładnie,
Ten obliczy bieg komet, Whartona odgadnie.

Lecz w tém poszukiwaniu najświatlejsi zbłądzą,
Skoro podrzędny przymiot za główny osądzą,
. . . .
Lukullus piekłby rzepę w Sabińskim szałasie,
Gdyby ta mierność w jego popłacała czasie,
Sądzić utwor sztukmistrza oko nie jest w stanie,
Które za sam budynek bierze rusztowanie.
Zwykle główna namiętność ludzkie pręży siły,
Jak gorączka nas krzepi nagląc do mogiły.
Czas nawet, który wszystko zagładza po trochu,
Téj nie zwalcza; i w zmarłych ją szanuje prochu;
Godząc się z ułomnością swego arcydzieła,
Tu poczciwa natura kończy jak zaczęła.
Spojrzyj na tego starca co skutkiem łakomstwa,
Ojcem bezimiennego zostaje potomstwa,
Patrz jak na téj ulicy ściésnionéj przez domy,
Potrąca go bezbożnie synek nieświadomy;
Patrz jak na drżących nogach lgnie do swéj jejmości,
I każdemu wróblowi swawoli zazdrości!
Jacka wprawiło w niemoc średnie karpia dzwono,
Przywołano lekarza, o życiu zwątpiono.
„Boże, krzyknął, przyjm duszę w miłosierdziu swojém!
„Czy już nie ma nadziei?... no! to głowę dojem!"
Rządna Marta gdy w domu modlą się dokoła,
Myśli wciąż jak oszczędzić część gromnicy zdoła,
Więc zbiéra tchu ostatek już leżąc bez ruchu,
Potém dmucha.... i duszę wyziewa w tym dmuchu.
„W kir mnie nie strój, ...
Tak mówiła Alina myśląc o pogrzebie,—
„Niech koronka brabancka, szlafroczek uroczy,
„Osłoni zimne ciało, martwą skroń otoczy!
„Mamże straszyć po śmierci jak zła pokutnica?
„A nie zapomnij Kasiu ubarwić mi lica!"
Ów dworak słodziuteńki, co przez długie lata
Najuniżeńszym sługą był całego świata,
To wystękał gdy ledwie mógł języka użyć:
„Radbym z serca tam państwu w czemkolwiek usłużyć!"

„Dla Pawła, rzekł z westchnieniem Łukasz pełen tróski,
„Przekazuję mój folwark z przyległemi wioski!"
— A gotówkę? — „Gotówkę? wszystko co posiadam?
„To gwałt!... jęknął... niech wreszcie ją dziedziczy Adam!
— Komuż pałac?—„Mój pałac? stój! nieszczęścia szukasz!
„Pałacu zbyć nie mogę"... i skonał pan Łukasz.

L. Kamiński.

DONIESIENIE.

Pan Aleksander Wejnert magister obojga praw i Administracyi, Konserwator Akt dawnych miasta Warszawy, łącznie ze znanym ze swéj erudycyi Antonim Muczkowskim, mają wydawać od 1 Stycznia r. b. dzieło zbiorowo-poszytowe pod tytułem: STAROŻYTNOŚCI WARSZAWSKIE.

Przytaczamy tu obszerniejszą o tém ważném przedsięwzięciu wiadomość podług nadesłanego nam prospektu:

„Upływa sześć wieków istnienia Warszawy, a dotąd to miasto nie posiada swojéj historyi, wtedy, gdy wszystkie niemal mniéj znakomite miasta naszego kraju już ją posiadają.

Dziwić się należy, iż pisarze nasi tak ważnych dziejów już wcześniéj nam nie skreślili; pomijając powody które ich do tego opóźnienia skłoniły, za obowiązek poczytujemy podać świattéj publiczności plan naszego dzieła, które choć w części brak téj historyi zastąpi.

Głównym celem „STAROŻYTNOŚCI WARSZAWSKICH z początkiem roku przyszłego wychodzić mających, na mocy urzędowych dowodów, będzie:

1. Sprostowanie porozpraszanych mylnych wiadomości o Warszawie.

2. Zebranie i przedstawienie materyałów do historyi miasta Warszawy.

Źródła główne do tego czerpane będą z dwóch Archiwów najwięcéj zasobów do tej historyi mających, a mianowicie z Archiwum Głównego Królestwa i z Archiwum Akt miasta Warszawy.

Dzieło to wychodzić będzie poszytami z arkuszy 4 składającemi się. W miarę potrzeby stosowne cynkografie lub litografie załączane będą, jużto dotyczące herbów miasta, jużto *fac similia* dawnych przywilejów miasta, lub nakoniec widoki i plany różne, bądź to całéj Warszawy, bądź też szczegółowych jéj części.

Artykuły, dzielić się będą na dwie części: w 1-éj objęte będą przedmioty dotyczące całéj Warszawy, w drugiéj opiszemy szczegółowe części miasta.

Jeżeli artykuły w 1-éj części zawarte nie zostaną w jednym poszycie ukończone, to w drugiéj części musi to nastąpić, i na odwrót, jeżeli w 2-éj części nie będzie zamieszczonym zupełny artykuł w jednem poszycie, to w 1-éj części w tymże samym poszycie tenże ukończonym zostanie; tak więc w każdym zeszycie znajdować się będzie jeden artykuł zupełny.

Wyjątki od tego będą bardzo rzadkie.

Stosownie więc do planu: w 1-éj części będziemy umieszczali wiadomości o nazwisku, herbie, początkach, jurydykach, handlu wewnętrznym i zewnętrznym Warszawy, aż do dzisiejszych czasów. Podział Warszawy na różne części, nastręczy podział artykułów dotyczących każdéj części Warszawy z osobna: jużto pod względem praw i przywilejów, już też co do urządzeń administracyjnych lub policyjnych.

Wszystkie ustawy i przywileje w obcych językach będą wydane obok z tłómaczeniem na język polski. W téj części także znajdują się wszystkie przywileje cechów, dekreta Kommissyi porządkowéj (Boni ordinis), dla miasta Warszawy, wszystkie dekreta Kommissyi brukowéj i rozporządzenia w aktach Radzieckich, dotyczące interessów miasta Warszawy, nakoniec wymiar ogólny całéj Warszawy w roku 1784 dopełniony; wreszcie opis topograficzny i historyczny każdéj posiadłości w Warszawie.

W 2-éj części umieścimy szczegółowe artykuły, obejmujące historyą pojedynczych instytucyj i zakładów ku wygodzie i pożytkowi

miasta służących, jakiemi są: szpitale, kościoły, szkoły, cechy, wodociągi miejskie i studnie; most, pałace, magazyn karowy, rozporządzenia względem gaszenia ognia, uśmierzenia morowego powietrza i t. p.

Wszystkie fakta naszego dzieła opiérać się będą na urzędowych dokumentach, bądźto z oryginałów, bądź z opłat lub kopij wierzytelnych czerpanych.

Z tego łatwo przekonać się można o użyteczności dzieła nietylko dla Warszawy, ale i dla mieszkańców kraju całego; mianowicie dla właścicieli domów, którzy będą mieli skréślony obraz historyczny swoich possesyj, ich rozmiar dawny i teraźniejszy z najdrobniejszemi szczegółami.

Zamierzając wydawać tak użyteczne dzieło, przekonani jesteśmy, iż wiele bardzo pamiątek, jakie o Warszawie w różnych rękach kraju całego znajdują się, przez ich posiadaczów będą nam łaskawie przesłane. Ze strony także naszéj, dołożymy wszelkiego starania i pracy, aby tak miłe dla kraju pamiątki wydrzéć czasowi i godnie podać do potomności, wraz z historiją tego miasta, którą mamy na celu w poźniejszym czasie ogłosić.— Przedpłata na każdy zeszyt łącznie z litografią, wynosić będzie Złp. 3 gr. 10."



WIADOMOŚĆ

o kościotrupie ludzkim, zmienionym w lane żelazo.

W tutejszym gabinecie zootomicznym, znajduje się nader ciekawy kościotrup ludzki, powiększéj części zmieniony w lane żelazo. Znaleziony został w dawnym cmętarzu, przy opuszczonym kościele Ś-go Jerzego na ulicy S-to Jerskiéj w ulewni żelaza p. Evans. Zdaje się

że podczas lania, część roztopionego żelaza zakradła się do grobu, ścięła się przy kościotrupie i wypełniła kości. Jestto bryła żelaza, przeszło dwa centnary ciężka, w której leżą kości człowieka w właściwym układzie, począwszy od czaszki aż do kości miednicowych. Żalazo wypełniło nie tylko próżne części różnych kości, jakoto głowę, kości ręki, ale nadto zupełnie przejęło kości z jednorodnéj tkanki składające się. I tak: kości palców ręki, są zupełnie wypełnione lanem żelazem, cienką białą powłoką kostną okryte. Zupełnie podobne przemiany miały miejsce z kośćmi zawartemi w twardéj skorupie ziemi; tylko inne ciała mineralne wcisnęły się w próżne części, i tak, kości wielkich jaszczurów zawartych w formacyi triasowéj wydają się jakby były z jednorodnéj massy wapiennéj.

Do wypełnienia tkanki komorkowatéj kości, trzeba było pewnego czasu, i dla tego zdaje się że ciało tak łatwo stygnące jak żelazo, musiało od czasu do czasu przybywać, zanim nastąpiła zupełna zmiana w kościach, jaką teraz spostrzegamy.

L. Z.

LISTOWANIE.

(Wiadomość o nowościach literackich).

Podług przyrzeczeń, donosimy Redakcyi o naszych nowościach wileńskich. Dotąd niewiele jeszcze się ukazało, ale więcéj jest w obieleńskich. Dotąd niewiele jeszcze się ukazało, ale więcéj jest w obietnicach księgarskich. Niektórych zaś dzieł po kilka wyszło tomów lub zeszytów; reszta zaś ma wyjść w roku 1848. Zawadzki, ogłoszone dawniej dramata Józ. Korzeniowskiego już wytłoczył, a mianowicie: Młodą Wdowę (str. 129 w 8ce) i Izabellę d'Ayamonte (str. 141 w 8ce mniejszéj) obie sztuki znane u nas i u was ze sceny. Zenon Fisch, ten sam, co dawniéj ogłosił *Gwiazdę*, wydał swoim kosztem

we 2ch tomach Pamiętniki moich przyjaciół przez Edwarda Mariana (Gallego) drukiem Zawadzkich. Tu się mieszczą:

Wspomnienia wschodu, Noc dnia zadusznego, Przeklęta (wyjątek ze wspomnień lekarza), Zawsze męczennik (poświęcony D-rowi Maciejowi Łowickiemu znanemu z artykułów w piśmie waszém), wreszcie Swiat i Poeta. Glücksberg Teofil wiele rzeczy zapowiedział, które tu porządkiem abecadłowym podług autorów lub tłumaczów kładziemy:

Groza Aleksander - Władysław: Wyciąg z pamiętników niebardzo starych, 2 tomy w dwunastce.

Grzymałowski Klemens, z powieści ludu napisał dramę fantastyczną we 3 aktach i jednéj scenie p. t. Przesilenie dnia z nocą w 12ce.

John of Dycalp. Dzieła Wiliama Shakspeara 3 tomy (Tu zamieścił *Henryk* IV część I i II).

Kowalski Fr. Dzieła Jana Chrzciciela Pokelina Moliera w 8 tomach tłumaczone wierszem. (Dotąd 2 wyszły)

Kraszewski J. J. przełożył z angielskiego: *Złotą legendę artystów.*

Wilkońska. Tak się dzieje, powieść dwutomowa.

Żegota Kostrowiec. Pisma we 3ch tomach. Tu się mieścić mają: Korona (legenda), Powieści gminne, Poezije Grzegorza Naziańzeńskiego, oraz artykuł wytłoczony dawniej w Tygodniku Petersburgskim p. t. O stosunku bezpośredniéj filozofii do religii i cywilizacyi naszej.

Rozmyślania Ewangeli w VII tomach dwunastkowych, z których kilka już wyszło.

Wierzcie, iż będę stałym waszym zawiadowcą czyli korrespondentem.

C.

Uwiadomienie księgarni S. H. Merzbacha. Wyszedł zeszyt 1 Album malowniczego, zawierającego Wizerunki z dziedziny natury, sztuki, dziejów i życia, z rycinami na stali rytémi. Przedpłata na 10 zeszytów mających wyjść w ciągu półrocza ze 40 rycinami, wynosi złp. 33 gr. 10, z których płaci się 15 złp. przy odebraniu *piérwszego*, a 18 złp. przy otrzymaniu piątego zeszytu.